

ta I 141.156

BABA JAGA

Friday  
June 1st

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31

# B A B A J A G A

ORAZ INNE BAJKI

PRZEŁOŻYŁ

FR. MIRANDOLA

PUBLICZNA SZKOŁA POWSZECHNA

204/m-iv

WARSZAWA

---

KSIĘGARNIA LITERACKA

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001003638295



116

19.8

J. 141.15C

DRUKARNIA „L I N O L I T” WARSZAWA

1953 D 694/49



## BABA JAGA

Pewna wdowa miała dwie córki. Jedna była piękna i pracowita, druga brzydka i próżniak nielada. Ale wdowa kochała bardziej brzydką i leniwą, gdyż była jej córką rodzoną, a na piękną pasierbicę składała całą robotę domową, tak że była jakby Kopciuszkiem. Biedna dziewczyna musiała siadać codziennie u studni, przy gościńcu i prząść tak długo, aż jej krew ciekła z palców. Jednego dnia, widząc okrwawione wrzeciono, chciała je opłukać wodą. Nachyliła się nad studnię i nagle bęc... spadło wrzeciono na samo dno. Przerazona pobiegła do macochy i opowiedziała o nieszczęściu. Macocha zwymyślała ją srogo i rzekła:

— Skoroś upuściła do studni wrzeciono, dobądź je z powrotem.

Zrozpaczona dziewczyna wróciła do studni, a nie wiedząc, jak wydostać zgubę, wskoczyła w wodę. Straciła oczywiście zaraz przytomność, a odzyskawszy zmysły spostrzegła, że jest... o dziwo... na pięknej łące, zalanej słońcem i pełnej ślicznych kwiatów. Szła tą łąką i szła, aż zobaczyła piec piekarski, pełen bochenków chleba.

Ten chleb wołał:

— Dobądźże mnie z pieca. Spalę się na nic. Jestem już w sam raz upieczony.

Dziewczyna wzięła kociubę i wygarnęła z pieca wszystkie bochenki chleba, do jednego.

Potem poszła dalej, aż zobaczyła drzewo pełne jabłek.

— Strząśnij nas! Strząśnij nas! — wołały jabłka. — Jesteśmy już całkiem dojrzałe.

Dziewczyna potrząsnęła drzewem, a jabłka posypały się jak grad. Gdy już nie było ni jednego na gałęziach, dziewczyna

ułożyła je w kopczyk i powędrowała dalej.

Niedługo zobaczyła mały domek. Z domku wyglądnęła stara babcia. Miała ogromne zębiska. Dziewczyna zlekła się i chciała uciec. Ale babcia ją wołać:

— Nie bój się, moje dziecko. Zostań u mnie, a jeśli zechcesz pracować uczciwie, niczego ci nie zbraknie. Musisz tylko trzepać poduszki i pierzynę tak mocno, by pierze leciało. Ja jestem Baba Jaga. Kiedy śnieg pada wielkimi płatami, ludzie powiadają, że Baba Jaga trzepie pościel swoją.

Spodobały się biednej dziewczynie te słowa i przyjęła służbę. Czyniła wszystko, co kazała Baba Jaga i trzepała pościel tak mocno, że śnieg pierza spadał płatami na ziemię. Za to dobrze jej było w służbie. Baba Jaga nie rzekła jej nigdy przykrego słowa i podsuwała obficie smaczne jadlo.

Przez czas niemały służyła dziewczyna, aż jej się przykrzyć zaczęło za domem,

choć w nim niczego dobrego nie znalazła. Pewnego dnia rzekła Babie Jadze:

— Dobrze mi tu, ale cni mi się za domem strasznie.

— Dobrze, że tęsknisz za domem! — pochwaliła ją Baba Jaga. — Ponieważ mi służyłaś wiernie, przeto wyprowadzę cię na świat.

Ujęła ją za rękę, zaprowadziła do wielkiej bramy. Brama otwarła się sama i nagle lunął na dziewczynę deszcz złoty. Świeące pieniążki czepiały się jej sukni i włosów, tak że za chwilę była pozłocona od stóp do głowy.

— To jest nagroda za pracowitość! — powiedziała Baba Jaga i dała odchodzącej w rękę wrzeciono, które upuściła do studni.

Po tym brama zamknęła się, a dziewczyna spostrzegła, że stoi na bożym świecie, niedaleko domu macochy.

Poszła tam zaraz, a gdy wchodziła w drzwi, zapiał kogut siedzący na dachu:

— Kikiriki!

Złota dziewczyno, dzień dobry ci!

Macocha i siostra przyrodnia przyjęły ją uprzejmie, gdyż miała dużo pieniędzy i zaczęły wypytywać.

Dziewczyna opowiedziała wszystko, a macocha postanowiła wysłać do Baby Jagi własną córkę, by także sobie przyniosła takie bogactwo.

Kazała jej tedy siąść u studni i praść. Brzyduli znudziło się to rychło, przeto pokłula sobie palce szpilką, by krwawiły, a potem poplamione wrzeczono cisnęła w studnię i skoczyła za nim na dno.

Po chwili ujrzała się na pięknej łące i zaczęła iść przed się. Spozrzegła piec piekarski. Z pieca wołał chleb:

— Dobądź mnie! Spalę się na nic. Jestem już w sam raz upieczony.

Ale leniwa brzydula odparła:

— Ładna historia! Ani mi się śni walać rąk i sukni.



Rzekłszy to poszła dalej, aż zobaczyła drzewo pełne jabłek.

— Strząśnij nas! Strząśnij nas! — wołały jabłka. — Jesteśmy już całkiem dojrzałe.

— Ładna historia! — odpowiedziała leniwa dziewczyna. — Mogłoby mi które spaść na głowę i nabić guza.

Poszła dalej, a zobaczywszy domek i Bagę Jagę nie przestraszyła się wcale, gdyż wiedziała o całej rzeczy. Najęła się też zaraz do służby.

Pierwszego dnia szła jako tako robota, ale nazajutrz uprzykrzyło się leniwej dziewczynie pracować, zaś dnia trzeciego nie chciała wcale wstać rano z łóżka.

Naturalnie, ani jej było w głowie trzepać poduszki i pierzyny Baby Jagi, tak że pierze nie leciało wcale, a śnieg na ziemi nie padał.

Baba Jaga obmierzyła sobie prędko leniwą sługę i odprawiła ją. Nie zmartwiło

to wcale dziewczyny, bo myślała, że spadnie na nią teraz deszcz złoty.

Baba Jaga zaprowadziła ją do bramy, a gdy się otworzyła sama przez się, lunął z góry strumień gęstej, lepkiej smoły.

— To nagroda za służbę! — powiedziała Baba Jaga i zatrzasnęła bramę.

Leniwa brzydula wróciła do domu, a kiedy wchodziła w drzwi, zapiał kogut siedzący na dachu:

— Kikiriki!

Smola po plecach spływa ci!

Smola to była zaczarowana i niczym zmyć się nie dała, tak że brzydula żyła tak usmarowana aż do śmierci.

## KRÓL KOSONOS

Pewien król miał córkę przecudnej urody, była jednak tak dumna, że gardziła każdym ze starających się o jej rękę i drwiła z wszystkich.

Raz wydał król ucztę wspaniałą i zaprosił wszystkich, chętnych do ożenku młodzieńców całej okolicy. Ustawili się rzędem wedle dostojęstwa i tak: królowie, wielcy książęta, książęta, hrabowie, baroni, a na końcu zwykli szlachcice. Królewna szła wzdłuż szeregu, ale każdy miał w jej oczach jakąś wadę.

— Becha wina! — powiedziała o grubasku. — Cienki jak słomka, nie będzie zeń małżonka! — rzekła o chudym. — Utuczony wspaniale, ale nie chcę go widzieć wcale! — powiedziała o innym. Czwartemu przyganiała, że blady, piąty



16a



NO. 111077  
BN  
ARODC

był jej zbyt czerwony, szósty niedość smukły i tak szydziła z wszystkich. Najgorzej dogryzała jednemu młodemu królewiczowi, który miał nieco krzywą szczękę i nos szpiczasty.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się. — Ma on nos jakby kos, a krzywa broda, to nowa moda!

Od tego czasu królewicza tego zwano Kosonosem, ale ojciec królewny, stary król, rozgniewany wielce kapryсами córki oświadczył, że ją wyda za pierwszego dziada, czy żebraka, który się zjawi.

W kilka dni potem stanął pod pałacem królewskim ubogi grajek i jął grać i śpiewać, by tym zarobić trochę grosza. Usłyszał to król, kazał go wezwać przed siebie, gdy zaś on i królowna wysłuchali tej muzyki, rzekł król:

— Spodobało mi się to bardzo i dam ci w nagrodę córkę moją za żonę.

Królowna przeraziła się bardzo i jęła wykrzykiwać, ale król rzekł surowo:

— Nic z tego, mościa panno! Przysięgłem i basta!

Uczył, jako rzekł, zawołał plebana i mimo płaczu i narzekania zaślubił córkę wędrownemu grajkowi, potem zaś dodał:

— Jesteś żoną żebraka, nie wypada ci tedy przebywać na królewskim dworze. Idźcież tedy z Bogiem oboje.

Grajek wziął ją za rękę i poszli pieszo gościńcem, a gdy przybyli do wielkiego lasu, spytała biedaczka:

— Czyżże to las wspaniały?

— Kosonosowy jest cały,

A twoim byłby pono,

Gdybyś była jego żoną.

— Ach ja nieszczęsna! — zawołała z żalem, ale nie było rady i poszli dalej. Potem stanęli na pięknej łące, a ona spytała:

— Czyżeż te łąki soczyste?

— Kosonosowe zaiste,

A twojeby były pono,

Gdybyś była jego żoną.

— Ach ja nieszczęsna! — zawołała z żalem, ale nie było rady i poszli dalej. Za czas pewien ujrzeni ogromne miasto, a ona zapytała ciekawie:

— Czyjeż jest to wielkie miasto?

— Kosonosowe, niewiasto,  
A twoim byłoby pono,  
Gdybyś była jego żoną.

Grajek nie był zadowolony wcale, że jego żona ciągle myśli o innym mężu i rzekł jej kilka przykrych słów, po czym szli długo w milczeniu, aż ujrzeni maleńki domeczek. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, spytała:

— A czyjaż to chałupa,  
Niby ślimacza skorupa?

— Moje domostwo i twoje.  
Będziemy tu żyć we dwoje.

Chata była tak niska, że biedna żona grajka musiała się skulić. Wszedłszy spytała:

— A gdzież służba?

— Służby ci się zachciewa! — zawołał grajek. — Musisz sama robić wszystko w domu. Dalejże, rozpal ogień i zgotuj mi coś, bom głodny i zmęczony.

Ale królowna nie umiała rozniecić ognia, ni gotować, tak że biedny grajek gotował sam jako tako cienkiej zupki, potem zaś legł spać. Zaraz o świcie zapędził jednak grajek żonę do roboty.

Przeszło w ten sposób dni parę i skromne zapasy wyczerpali do cna, tedy rzekł grajek:

— Kobieto! Nie możemy żyć dłużej nic nie zarabiając. Musisz pleść koszyki.

Rzekłszy to, poszedł nad rzekę, naciął wikliny i przyniósł do domu. Królowna jęła pleść, ale twarde wicie poraniły jej delikatne palce.

— Widzę, że to na nic! — rzekł mąż — Może umiesz lepiej prząć. Weźże wrzeciono.

Siadła prząć, ale ostre nitki poprze-

cinały jej delikatne palce, tak że krwią spłynęły. X

— Widzisz! Nie umiesz nic robić! — zawołał mąż. — Spróbuję jeszcze, czy zdołasz handlować garnkami i miskami glinianymi. Musisz sięść na rynku i sprzedawać garnki.

— Ach! — powiedziała do siebie. — Jakże sztydzić będą ze mnie ludzie przybyli na targ z kraju ojca mego, gdy ujrzą, że sprzedają garnki.

Nic jednak nie pomogło i musiała zarabiać na życie sprzedażą garnków. Poszło jej dobrze, ludzie kupowali chętnie od pięknej kobiety, a niektórzy płacili więcej niżli żądała i zostawiali w dodatku kupione garnki. Żyli z tego zarobku przez czas jakiś, a mąż zakupił nawet większy zapas towaru. Ale jednego dnia pijany huzar wjechał konno na jej garnki i potłukł wszystkie doszczętnie.

Biedaczka rozplakała się i pobiegła ze skargą do męża, on zaś rzekł gniewnie:

— Któż ci kazał siadać z garnkami tam, gdzie jeżdżą żołnierze? Wiedziałem z góry, że nic nie umiesz, przeto poszedłem do królewskiego pałacu spytać, czy nie potrzeba kuchty do posług kucharzy. Właśnie było wolne miejsce i możesz tam pracować za wikt.

Biedna królowna została kuchcią i musiała słuchać każdego skinienia kuchmistrza, który jej dawał najcięższą robotę. Ukryła w kieszeniach dwa garnuszki i przynosiła jedzenie mężowi, by nie umarł z głodu.

Pewnego dnia miano obchodzić uroczystości zaślubiny najstarszego syna królewskiego, a biedna kobieta stanęła pod drzwiami paradnej sali, chcąc się przypatrzeć świetnym godom. Zaświecono lampy, wchodzili raz po raz pięknie wystrojeni panowie i panie, wszystko lśniło przepychem, a biedna kobięcina, stojąc u progu dumiała z żalem o uporze swoim i kapryсах, które ją przywiodły



do takiej nędzy. Warzono też pachnące potrawy, a gdy służący wracali z resztkami, rzucali jej raz po raz kęsy. Chowiała wszystko starannie do garnuszków w kieszeniach, chcąc zanieść jadło do domu. Nagle wszedł na salę królewicz, wspaniale przyodziany w jedwabie i aksamity, ze złotymi łańcuchami na szyi. Ujrzawszy u progu piękną kobietę, chwycił ją za rękę, gdyż chciał z nią zatańczyć, ona jednak wahała się przerażona, bowiem poznała królewicza Kosonosa, którego odrzuciła dawniej. Mimo oporu wciągnął ją do sali i zaczął tańczyć, ale w tym ruchu pękła tasiemka przytrzymująca w kieszeniach garnuszki, tak że wypadły, rozbiły się, a zupa i kawałki mięsa opryskały posadzkę.

Powstał ogólny śmiech i zaczęto szydzić, zaś biedną królową ogarnął taki wstyd, że pragnęła się zapaść pod ziemię na tysiąc łokci. Skoczyła do drzwi i uciekła, ale na schodach dogonił ją króle-

wiecz i przyprowadził z powrotem. Rzekł do niej łagodnie:

— Nie bój się! Ja jestem owym grajkiem, z którym mieszkasz w chatce, ja to, z miłości do ciebie, udawałem biedaka i ja też, przebrany za huzara, potłukłem ci garnki. Uczyniłem to wszystko, by ukrócić dumę twoją i oduczyć drwin.

Zapłakała rzewnie i odparła:

— Wielka jest wina moja i niegodna jestem być żoną twoją!

— Nie smuć się! — powiedział. — Złe czasy minęły, a teraz dopiero odprawimy nasze gody weselne.

Przyszły garderobiane, przyodziały królową w drogocenne szaty, zjawił się też ojciec, pobłogosławił ją, a cały dwór złożył życzenia szczęśliwej parze.

Po uroczystości zaczęły się dni radosne, a królestwo Kosonosowie żyją pewnie dotąd jeszcze gdzieś w odległych krajach.

## UKOCHANY ROLAND.

Żyła raz pewna kobieta, istna czarownica. Miała córkę własną, brzydką i złą, którą kochała, oraz piękną i dobrą pasierbicę, której znosić nie mogła. Zdarzyło się, że biedna sierota dostała od kogoś piękny fartuszek. Fartuszka tego pozazdrościła jej brzydka córka macochy.

— Zaczekaj trochę, dziecko, — rzekła jej czarownica — dostaniesz ten fartuszek niedługo. Ta nieznośna pasierbica oddawna zasłużyła na śmierć, to też dziś, w nocy, gdy zaśnie, odrąbię jej głowę siekierą. Postaraj się tylko lec od ściany, ją zaś wypchnij na sam kraj łóżka.

Biedna dziewczyna usłyszała na szczęście te słowa, gdyż stała opodal w kącie. Przez cały dzień nie pozwolono jej wyjść za próg, wieczór zaś musiała lec skraju,

by siostra przyrodnia spała od ściany. Ale w nocy posunęła zręcznie córkę macochy przed siebie, a sama zajęła jej miejsce. Późną nocą przyszła cichaczem czarownica. W jednej ręce miała wyostrzoną siekiere, drugą zaś zmacała, czy kto leży z brzegu. Potem ścisnęła siekiere oburącz i odrąbała głowę własnej córce.

Uczyniwszy to poszła, a sierota wstała co prędzej, pobiegła do domu ukochanego Rolanda swego, zapukała, gdy zaś wyszedł, rzekła mu:

— Drogi Rolandzie, musimy uciekać. Macocha chciała mnie zabić, ale uśmierciła córkę własną. Gdy zobaczy o świcie, co się stało, zginę niezawodnie.

— Radzę ci, — powiedział Roland — zabierz jej przed tym różdżkę czarodziejską, gdyż inaczej dogoni nas napewno.

Dziewczyna wzięła różdżkę, potem zaś upuściła kroplę krwi przy łóżku z głowy zabitej, w kuchni i na schodach i w końcu uciekła z ukochanym swoim,

Czarownica wstała wczas rano i zawołała córki, chcąc jej dać fartuszek, ale córka nie dała odpowiedzi.

— Gdzie jesteś? — spytała.

— Tutaj jestem! Zamiatam schody! — odrzekła kropla krwi.

Czarownica wyjrzała na schody, ale nie zobaczyła nikogo, spytała znowu:

— Gdzie jesteś?

— Jestem w kuchni, grzeję się! — odparła druga kropla. Czarownica nie zastała w kuchni nikogo i spytała po raz trzeci, a trzecia kropla odparła: — Leżę w łóżku i śpię!

Czarownica wpadła w rozpacz, znalazłszy w łóżku zwłoki córki swojej, której sama odrąbała głowę.

W gniewie wielkim spojrzała oknem, ponieważ zaś przez okno to było widać cały świat, zobaczyła pasierbicę, uciekającą ze swym ukochanym Rolandem.

— Nie umkniecie mi! — krzyknęła, chociaż byli już oddaleni o spory kawał

drogi. Wdziała zaraz tysiãcmilowe buty swoje, w których idãc, za ka¿dym krokiem przebywała całe mile. To te¿ choç uciekali co siã, dognała ich wreszcie.

Gdy dziewczyna zauwa¿yła, że nadchodzi, przemieniła za pomocã rózdzki czarodziejskiej swego Rolanda w jezioro, a siebie w kaczkę na wodzie. Czarownica stanęła na brzegu i rzucała okruszyny chleba do wody, by przywabić kaczkę. Ale kaczka pływała z dala, a czarownica musiała wieczorem wracać do domu nie sprawiwszy niczego. Uciekajãcy przybrali zaraz zwyczajnã swã postac i szli przez cała noc a¿ do świtania. Gdy słońce wzeszło, przemieniła siã dziewczyna w piãkny kwiat w żywopłocie, zaś Rolanda w skrzypka. Niedługo nadeszła czarownica i spytała:

— Drogi skrzypku, wszakże mogę sobie zerwać ten piãkny kwiat?

— Naturalnie! — odparł. — Zagram nawet pani do tego.

Weszła w ciernisty żywopłot, gdyż wiedziała, kto jest tym kwiatem, a skrzypek zagrał. Czarownica zaczęła zaraz tańczyć, gdyż była to nuta czarodziejska i tańczyła wbrew woli swej, pośród cierni, które jej poszarpały odzież i ciało, tak że niedługo zmarła z upływu krwi.

Kiedy zostali ocaleni, rzekł Roland do ukochanej dziewczyny:

— Teraz pójdę do ojca przysposobić wszystko do naszego wesela.

— Ja zaczekam tu, — odparła — a dla niepoznaki przemienię się w czerwoną skałę.

Roland odszedł, a dziewczyna została w szczerym polu, zamieniona w skałę. Roland wpadł jednak, będąc w domu, w ręce innej dziewczyny i zapomniał o pierwszej, ona zaś czekała. Gdy jej się w końcu sprzykrzyło być ciągle skałą, przybrała postać kwiatu.

— Ktoś może nastąpi na mnie i za-  
depce! — pomyślała, chcąc umrzeć.

Zdarzyło się jednak, że na tym polu paś pasterz owce. Widząc piękny kwiat, zerwał go i włożył do szkatułki. Od tego czasu cuda zaczęły się dziać w domu pasterza. Gdy wstał rano, cała robota już była wykonana, izba zamieciona, stoły i ławy czyste, ogień płonął na kominie, a wody ktoś nanosił. W południe zastawał stół nakryty i doskonałe jadlo czekało nań. Pasterz nie mógł tego wszystkiego zrozumieć, gdyż w chatce swej nie widywał nigdy nikogo. Dobrze mu z tym było, ale bał się też potrosze, tedy poszedł do pewnej starej kobiety i spytał o radę.

— Są w tym czary! — powiedziała mu. — Zbudź się o świcie i uważaj pilnie, czy się co nie rusza w domu. Gdy spostrzeżesz, narzuć zaraz na to białą chustkę, cokolwiekby było. Wtedy czar ustanie.

Pasterz uczynił wszystko wedle polecenia i ujrzał nazajutrz o świcie jak się otwiera szkatulka i wychodzi z niej kwiat. Zarzucił prędko chustkę i zaraz



kwiat przemienił się w dziewczynę, która wyznała, że od pewnego już czasu zamieszkuje domem jego i opowiedziała mu życie swoje. Pasterz spytał, czy go chce za męża, ale ona wolała pozostać wierną ukochanemu Rolandowi, chociaż ją porzucił. Obiecała jednak, że nie odejdzie, ale będzie dalej prowadziła gospodarstwo pasterzowi.

Niezadługo rozgłoszono po całym kraju o bliskim ślubie Rolanda, na który, jak to było w zwyczaju, zejść się miały wszystkie dziewczęta, by śpiewać ku czci młodej pary. Biedaczka zasmuciła się bardzo i omal jej serce nie pękło, nie chciała też iść, ale inne zabrały ją ze sobą przemocą. Dziewczęta śpiewały jedną po drugiej, a opuszczona chowała się za nie, gdy jednak przyszła na nią kolej, musiała zaśpiewać.

Roland skoczył żywo z wspaniałego fotelu, na którym siedział obok narzeczonej i zawołał:

— Znam ten głos! To ona, moja prawdziwa ukochana! Nie trzeba mi innej żony!

Wszystko, o czym zapomniał, przyszło mu nagle do głowy, a serce zabiło znowu w piersiach jak dawniej. Wierna dziewczyna zaślubiła swego Rolanda i skończyły się dla niej dni smutku i niedoli.

Ale nie miał nadziei doprowadzić do tego.

Pewnego dnia rzekł mu ojciec:

— Jesteś już duży i silny. Uczże się czegoś, by na chleb zarabiać. Spójrz na brata, jaki zaradny i mądry. Czegóżbyś się chciał wyuczyć, mów!

— Chciałbym, żeby mnie kiedy ciarki przeszły! — odparł głuptasek.

— Szkoda czasu i atlasu! — mruknął brat starszy. — Z niego nie będzie już nic.

Ojciec zaś westchnął i powiedział:

— Że cię kiedyś przejdą ciarki, to rzecz pewna, ale tym nie zarobisz na życie.

Niedługo potem przyszedł w odwiedzi-ny kościelny, a ojciec zaczął użalać się przed nim, że ma tak głupiego syna.

— Pytałem go — rzekł — czym myśli zarabiać na życie, on zaś powiedział, że chce, by go ciarki przeszły.

— Nic łatwiejszego! — zapewnił kościelny. — Ja go tego wyuczę. Oddajcie mi tylko syna swego na czas pewien.

## ŻEBY MNIE TO CIARKI PRZESZŁY.

Pewien ojciec miał dwu synów, starszy był mądry i dawał sobie ze wszystkim radę, młodszy jednak, głuptasek wielki, budził politowanie u ludzi którzy, też żalowali ojca. Starszy jednak bał się i gdy wypadało po coś iść nocą, zwłaszcza w pobliżu cmentarza, mawiał:

— Ciarki mnie przechodzą, nie pójdę!

Nieraz też opowiadano wieczorem historii o strachach, a ten i ów szeptał:

— Ach! Ciarki mnie przechodzą! — i trzął się ze strachu.

Młodszy syn słyszał to nieraz, siedząc w kącie, ale nie rozumiał, jak mogą przechodzić kogoś ciarki i uważał to za wielką sztukę.

— Ach! — myślał. — Żeby mnie to ciarki przeszły!





Ojciec uczynił to chętnie, w nadziei, że chłopak okrzese się potrosze, a kościelny kazał mu bić we dzwony. Pewnej nocy zbudził go, i polecił iść na wieżę dzwonić.

— Już cię tam ciarki przejdą! — pomyślał, przywdział białe prześcieradło i ukrył się na schodach dzwonnicy, a potem ukazał mu się w chwili, gdy brał w rękę sznur.

— Kto tam? — krzyknął głuptas widząc białą postać.

Nie było odpowiedzi, a chłopiec krzyknął znowu:

— Gadaj zaraz! Inaczej dam ci nauczkę. Co masz tu do roboty po nocy?

Kościelny nie ruszał się, udając stracha, a chłopiec krzyknął trzeci raz, potem zaś bez namysłu zbiegł po schodach, schwycił białą postać i strącił ją na dół. Następnie oddzwonił jak trzeba było, wrócił do izby i legł spać.

Zona kościelnego czekała długo na

męża, gdy zaś nie wracał, zbudziła chłopca i spytała:

— Czy nie wiesz, gdzie jest mój mąż? Poszedł przed tobą jeszcze na wieżę.

— Nie wiem — odparł. — Widziałem tylko jakiegoś białego człowieka na schodach, zawołałem nań trzy razy, gdy zaś nie odpowiadał, strąciłem go na dół. Może to mąż wasz. Przykręć by mi było wielce.

Kobieta pobiegła, i znalazła męża pod schodami, jęczącego boleśnie, gdyż złamał sobie nogę.

Z wielkim trudem zawlokła kościelnego do łóżka, potem zaś pobiegła do ojca głup-taka, wołając:

— Zabierzcie sobie synalka do domu. Narobił nieszczęścia, strącił ze schodów męża mego, tak że złamał nogę.

Ojciec zwymyślał go porządnie.

— Cóż to za bezbożne figle! — krzyknął. — Diabeł musiał ci je chyba podsunąć.

— Ojczy! — zapewnił chłopak. — Je-



stem niewinny! Zobaczyłem człowieka, który miał minę złoczyńcy, trzy razy zawołałem nań, by sobie poszedł precz, on jednak milczał i stał bez ruchu.

— Ach! — westchnął ojciec — samą tylko biedę mam z tobą. Idź mi precz z oczu, nie chcę cię widzieć.

— Dobrze ojcze. Pójdę sobie — odparł.  
— Niech się tylko dzień zrobi. Pójdę szukać strachów, a to mi da z pewnością doskonały zarobek.

— Idź gdzie chcesz i czyn, co ci się podoba! — zawołał ojciec. — Masz tu pięćdziesiąt talarów, zniknij mi z oczu i nie mów nikomu, kto jest twoim ojcem, gdyż wstyd mi ludzi.

— Dobrze ojcze, nie powiem nikomu. Jeśli tylko o to idzie, zapamiętam z łatwością.

O świcie wyszedł chłopak na gościniec i powtarzał sobie raz po raz:

— Żeby mnie tylko ciarki przeszły! Żeby mnie tylko ciarki przeszły!

Słowa te usłyszał przechodzień i przyłączył się do chłopca. Uszli spory kawał drogi, aż zobaczyli szubienicę.

— Widzisz to rusztowanie? — rzekł mu. — Jest tam na nich siedmiu biesiadników z wesela u powróznika, a teraz uczą się latać w powietrzu. Siądź pod szubienicą i zaczekaj do nocy, a z pewnością przejdą cię ciarki.

— Tylko tyle? To dobrze! Jeśli mnie przejdą ciarki w nocy, dam ci pięćdziesiąt talarów, przyjdź tedy rano do mnie.

Chłopak siadł pod szubienicą i czekał nocy, ponieważ zaś było zimno, rozniecił ogień. Około północy powiało jednak tak, że mimo ognia zimno go przejęło, a trupy zaczęły kołysać się i uderzać o siebie wzajem.

— Zimno mi! — rzekł sobie chłopak. — Ale o ileż chłodniej jest im tam, w górze.

Był miłosierny, przeto wlaź na rusztowanie, pozdejmował wisielców, a po-

tem posadził wkoło ognia,, by się ogrzali. Siedzieli, nie mówiąc nic, bez ruchu, a głuptasek dmuchał w ognisko, aż iskry leciały, padając im na odzież.

— Uważajcież! — ostrzegał ich życzliwie. — Gaście iskry, bo inaczej powieszę was z powrotem.

Oni jednak nie zważali na to i pozwolili swoim łachmanom tlić się.

Na ten widok wpadł chłopak w gniew wielki i zawołał:

— Dość tego! Widzę, że się nie dogadamy, a nie mam wcale ochoty spłonąć razem z wami.

Rzekłszy to, powiesił ich z powrotem i legł spać.

Rano przyszedł doń człowiek ów, w nadziei, że dostanie od głuptaska talary i spytał:

— Pewnie już wiesz, co strach?

— Nie! — odparł. — Skądżebym miał wiedzieć? Z tych siedmiu żaden nie otworzył gęby, a nawet tak są głupi, że

siedząc u mego ogniska, nie umie gasić iskier na swych łachmanach.

Przekonał się ów człowiek, że nie dostanie talarów i odszedł, mrużąc:

— Takiego głupca nie napotkałem jeszcze w życiu!

A chłopiec poszedł dalej, powtarzając ciągle:

— Ach, żeby mnie to ciarki przeszły!

Posłyszał te słowa woźnica, kroczący obok wozu i spytał:

— Któż ty jesteś?

— Nie wiem! — odparł chłopiec.

— Skądże jesteś?

— Nie wiem! — powtórzył.

— Któż jest ojcem twoim?

— Nie wolno mi mówić!

— Cóż tak ciągle mrużysz do siebie?

— Ach, chciałbym bardzo, by mnie przeszły ciarki. Ale nie mogę się tego nauczyć.

— Głupstwa gadasz! — rzekł woźnica.

— Chodź ze mną, a nauczysz się zaraz.

Chłopak usłuchał. Wieczorem dotarli do gospody, gdzie mieli nocować. Wchodząc, powiedział znowu:

— Ach, żeby mnie też przeszły ciarki!

Usłyszał to gospodarz, uśmiechnął się i rzekł:

— Będziesz tu miał doskonałą sposobność.

— Dajże pokój! — przerwała żona jego. — Niejeden śmiałek już tam zginął. Szkoda by było tak ładnego chłopca.

Ale chłopiec uparł się:

— Choćby to mi przyszło z trudnością, chcę koniecznie, by mnie przeszły ciarki. Wyruszyłem w świat umyślnie szukać strachów.

Napraszał się tak długo, aż mu gospodarz powiedział, że w pobliżu stoi przeklęty zamek, a tam nauczy się na pewno strachu byle tylko wytrzymał przez trzy noce. Król ofiarował temu, ktoby dokazał takiej sztuki, córkę swą za żonę, najpięk-

niejszą pod słońcem dziewczynę, a ponadto skarby, strzeżone dziś przez złe duchy, które mogą uczynić bogatym największego biedaka.

Młodzieniec poszedł nazajutrz do króla i poprosił, by mu pozwolono przebyć trzy noce w zaczarowanym zamku, a król zgodził się. Pozyskał sobie od razu życzliwość króla, który rzekł:

— Możesz prosić o trzy rzeczy, ale tylko przedmioty martwe i zabrać je ze sobą na noc.

— Proszę o ogień, o tokarnię i warsztat stolarski z nożami! — odparł bez wahania.

Wszystko to wniesiono za dnia do zamku, głuptasek rozpałił jasne ognisko, postawił obok warsztat stolarski, usiadł na tokarni i tak czekał. Około północy zabrał się właśnie do podsycenia ogniska, myśląc ze smutkiem, że tutaj nie pozna strachu, gdy nagle wrzasły dwa koty z ciemności. †

— Chodźcież, chodźcie do ognia, głuptaki! — powiedział im. — Musiałyście zmarznąć w ciemności.

Koty przybiegły w wielkich susach i siadły z obu stron, patrząc dziko błyszczącymi oczyma. Ogrzawszy się trochę, powiedziały:

— Możebyśmy zagrali w karty, dla rozrywki.

— Zgoda! — rzekł głuptasek. — Ale pokażcie naprzód łapy.

Wyciągnęły pazury, a chłopak rzekł:

— Cóż za straszne macie pazury! Muszę je obciąć przedtym.

Chwyił je za karki, podniósł na warsztat stolarski i przykręcił mocno łapy, potem zaś powiedział:

— Nie mam ochoty grać w karty z dzikusami! — pozabijał je i wyrzucił oknem do stawu.

Potem chciał się spokojnie u ogniska, ale z wszystkich kątów zaczęły się wylaniać czarne koty i psy z rozgrzanymi do

czerwoności łańcuchami, miauczeć, wyć i szczekać, gdy zaś zapełniły całą salę i jęły rozrzucać ognisko, chłopak wpadł w gniew, porwał nóż i rzucił się na tą bandę. Część uciekła, a resztę pozabijał i wyrzucił do stawu. Następnie, czując ochotę do snu, obejrzał się wokół, zobaczył wspaniałe łoże i położył się na nim. Natychmiast zaczęło łóżko biegać po wszystkie strony, podskakiwać na progach i schodach i latać po całym zamku.

— Dobrze! Prędejj! Prędejj! — mówił głuptasek, a łóżko jakby oszalałe wylatywało w powietrze i spadało w przepaście, tak że piernaty, pierzyny i poduszki fruwały wysoko.

Gdy miał tego dość, wyskoczył z zaczarowanego łóżka, legł przy ogniu i przespał resztę nocy do białego dnia.

Około południa przyszedł król i rzekł, widząc leżącego:



— Szkoda tego ładnego młodzika i jego widać zamordowały strachy.

— Jeszcze tak źle nie jest! — odparł, wstając.

Uradowało to króla i spytał, jak noc spędził.

— Doskonale! — odrzekł. — Jeszcze dwie noce i będzie koniec biedy.

Gdy wrócił do gospody, właściciel zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje i spytał:

— Pewnie cię już przeszły ciarki?

— Nie! — odparł. — I wątpię czy się tego kiedy nauczę.

Na drugą noc poszedł znowu do zamku, usiadł u ogniska i zaczął powtarzać jak zawsze:

— Ach! Żeby mnie też ciarki przeszły!

O północy zaczęły się hałasy coraz to silniejsze i w końcu pół ciała ludzkiego spadło tuż przed nim, z wielkim wrzaskiem.

— Cóż to za głupstwo? — zawołał. — A gdzie druga połowa?

Znowu zakotłowało się, spadła druga połowa.

— Czekaj, rozjarzę ogień! — rzekł chłopak, a gdy skończył, zobaczył, że obie połowy zrosły się i nieznany człowiek o strasznym wyglądzie siedzi na jego ławie.

— Nie bawię się tak! — zawołał młodzik. — Ława jest moja! — to rzekłszy zepchnął go i zajął swe miejsce.

Zaczęli spadać zaraz nowi ludzie, kości i głowy trupie, potem zaś towarzystwo rozpoczęło grać w kręgle puszczelami i trupiami głowami.

Chłopak nabrał ochoty do tej zabawy i spytał:

— Słuchajcie, czy weźmiecie mnie do towarzystwa?

— Jeśli masz pieniądze! — odpowiedzieli.

— Pieniądzy mam wbród, ale to wasze trupie głowy są niedość okrągłe!

Rzekłszy to wziął trupie głowy i obtoczył na tokarni, by lepiej biegały.

— Tak! Teraz pójdzie lepiej! — zawołał, zaczął grać, stracił trochę grosza, gdy atoli wybiła północ, wszystko znikło mu z przed oczu i spał spokojnie.

— Jakże poszło? — spytał rano król.

— Doskonale! — rzekł. — Grałem w kręgle i przegrałem kilka groszy.

— Musiały cię przechodzić ciarki?

— Nie! Radbym koniecznie dożyć tego i poznać, co znaczy strach.

— Trzeciej nocy siedział znowu na ławie przy ognisku, gdy nagle wniosło sześciu rośliych ludzi trumnę.

— Hu hu, to pewnie ten poczciwiec, który zmarł przed południem! — zawołał chłopiec, zdjął wieko i dotknął jego lodowatej twarzy.

— Czekaj! Ogrzeję cię trochę! — rzekł i jął grzać dłonie nad ogniskiem, a potem kładł je na policzkach zmarłego, ale pozostały zimne, jak przed tym.

Wyjął go tedy z trumny, wziął na kolana i rozcierał przy ogniu członki jego. Gdy i to nie pomogło, wpadł na pomysł taki:

— Muszę go wziąć do łóżka, a na pewno ożyje.

Włożył go pod kołdrę, legł obok i teraz dopiero zaczął się zmarły ruszać, a uradowany chłopak powiedział:

— Widzisz, że ci wróciłem życie, pocciwcz.

— A ja cię zaduszę! — krzyknął zmarły.

— Ładna wdzięczność! — odparł chłopak, porwał nieboszczyka, wrzucił do trumny i zabił gwoździami, a sześciu ludzi zabrało ją z powrotem.

— Nie przechodzą mnie ciarki! — powiedział sobie śmiałek. — Chyba i tu nie nauczę się tej sztuki.

Nagle wszedł olbrzym straszliwy, siwobrody i zawołał:

— Przejdą cię ciarki, młokosie! Właśnie teraz bowiem umrzesz.

— Jeszcze pożyję, zdaje mi się! — odparł.

— Nic z tego! Dam ja ci rady! — wrzasnął olbrzym.

— Nie przechwalaj się! — rzekł chłopiec. — Jestem silniejszy od ciebie.

— Zobaczymy! — powiedział starzec i zaprowadził chłopaka przez różne korytarze do kuźni. Stały tu kowadła i siekiery. Olbrzym wziął siekiereę i przeciął jedno z kowadeł, aż do podłogi, na dwoje.

— Potrafię coś więcej jeszcze! — zawołał chłopak. — Rąbnął siekiereę, przeciął kowadło, a zarazem zaciął koniec brody starca, tak że utkwiała w szczelinie.

— Mam cię! — zawołał. — Teraz na ciebie kolej umierać!

Chwycił sztabę żelaza i zaczął okładać olbrzymia, tak że prosił przebaczenia i litości, oraz obiecywał nieprzebrane skar-

by. Dobrotliwy chłopiec wyrwał siekiere i uwolnił brodę jeńca, a tenże zaprowadził go z powrotem do zamku i pokazał trzy piwnice pełne złota.

— Jedna z nich jest własnością króla, druga biednych, a trzecia twoja.

W tej chwili wybiła dwunasta, duch znikł, a chłopak wrócił do swego ogniska i zasnął zaraz smacznie.

Nazajutrz przyszedł król i pytał:

— No wiesz już, co strach?

— Nie wiem wcale! — odrzekł. — Nikt mi nie powiedział. Był u mnie tylko zmarły znajomy, potem brodaty olbrzym, pokazał mi złoto w podziemiu, ale ciarki mnie wcale nie przeszły.

— Oswobodziłeś zamek, przeto dostaniesz królową za żonę! — rzekł król.

— Bardzo dobrze! — zgodził się. — Chciałbym jednak jeszcze, by mnie przeszły ciarki.

Odprawiono huczne wesele, chłopiec

został królem, ale mimo wielkiego szczęścia, ciągle powtarzał:

— Ach, żeby mnie to przeszły ciarki! Zudziło to jego młodą żonę. Poleciała służącej przynieść z rzeki wielkie wiadro wody, wraz z małymi rybkami, potem zaś odkryła kołdrę, pod którą spał i wylała mu lodowatą wodę na głowę.

Zadrżał od stóp do głów i zawołał radośnie:

— Ach! Droga żono! Przeszły mnie ciarki... przeszły mnie ciarki!...

## KOZIOROŻEC.

Pewien biedny młynarz miał piękną córkę i rozmawiając pewnego dnia z królem, powiedział z przechwałką:

— Córka moja umie nawet ze słomy uprząć złotą nić.

— To dobrze! — zawołał król. — Przyrowadź mi jutro córkę na dwór, a wypróbuję, czy jest taka mądra, jak powiadasz.

Poskrobał się młynarz po głowie, ale nie mogąc odmawiać królowi, przyprowadził córkę, król zaś zawiódł ją do komory, gdzie było pełno słomy, dał jej kołowrotek, wrzeczono i rzekł:

— Bierz się zaraz do roboty. Do rana musisz z tej słomy naprząć złotych nici, inaczej umrzesz.

Potem zamknął komorę, a dziewczyna



została sama, płacząc i rozpaczając, gdyż nie umiała prząść ze słomy złota.

Nagle zjawił się mały człowieczek, złożył ukłon i rzekł:

— Witam cię, piękno młynarzówno! Czemuż to płaczesz tak gorzko?

— Ach! — westchnęła. — Mam prząść złotą nić ze słomy, a nie wiem, jak to zrobić.

— A cóż mi dasz, jeśli to zrobię? — spytał.

— Dam ci naszyjnik mój! — powiedziała.

Człowieczek przystał, zasiadł do kołowrotka i jął prząść tak, że do rana cała słoma zmieniła się w motki złotych nici.

O samym świcie nadszedł król i uradowało go wielce to, co zobaczył, ale uczuwszy wielką chciwość złota, zaprowadził młynarzównę do drugiej komory i kazał jej znowu prząść złoto ze słomy.

Płakała biedaczka, gdyż słomy było je-

szcze więcej, ale po chwili wszedł mały człowieczek i spytał:

— Cóż mi dasz, jeśli to zrobię?

— Pierścionek z palca! — odrzekła.

Człowieczek przystał i siadł prząść, a do rana cała komora zamieniła się w nitki złota.

Król przyszedł i rozradowany bardziej jeszcze zaprowadził dziewczynę do ogromnej stodoły pełnej słomy i powiedział:

— Jeśli do rana uprzedzisz na złoto tą słomę, zostaniesz żoną moją.

Postanowił poślubić młynarzównę, gdyż mimo, że nie była wysokiego rodu, bogatszej nie mógł znaleźć żony w całym świecie.

Ledwo została sama, przyszedł człowieczek i spytał, co mu da, jeśli wykona tą robotę.

— Nic już nie mam! — powiedziała.

— Przyrzec mi swe pierwsze dziecko,

jakie będziesz miała z królem! — rzekł człowieczek.

— Któż wie, jak to jeszcze wypadnie!  
— pomyślała młynarzówna i zgodziła się.

Człowieczek uprządł złota z całej słomy, gdy to zaś król rano zobaczył, zaprowadził młynarzównę do pałacu i odprawił z nią wesele.

Po roku miała królowa śliczne dziecko i całkiem zapomniała o małym człowieczku.

Pewnego dnia przybył jednak do niej i rzekł:

— Daj mi to, coś przyrzekła.

Przestraszona ofiarowywała mu wszystkie skarby całego królestwa, ale nie chciał ich, domagał się dziecka.

Zaczęła wówczas płakać i narzekać, tak że się zlitował i powiedział:

— Daję ci trzy dni do namysłu! Jeśli przez ten czas powiesz mi, jak ja się nazywam, zostawię ci dziecko.

Królowa myślała przez całą noc nad różnymi imionami i rozesłała nawet gońców po kraju, by zbierali co najdziwniejsze. Gdy nazajutrz przyszedł człowieczek, zaczęła je wymieniać, od Kaspra, Melchiora i Baltazara, ale człowieczek odpowiadał ciągle:

— Nie, nie, nie!

Na drugi dzień rozpytywała królowa po okolicy, jakie tu imiona noszą ludzie, a gdy człowieczek przyszedł, pytała:

— Może ci na imię Psiakość, albo Noga Stołowa, albo Kuternoga?

— Nie, nie, nie! — wołał wesoło.

Popadła w zupełną rozpacz, ale dnia trzeciego opowiedział jej jeden z wysłańców, że przechodząc lasem, gdzie zając w gęstwinie żegna się na dobranoc z lisem, zobaczył mały domek, żar buchał z komina, gdyż płonął w środku wielki ogień, a wokoło domku tańczył krasnoludek, śpiewając:

— Dzisiaj piekę dużo ciasta,

Jutro będę pił i basta!  
Któryż z ludzi może orzec,  
Że me imię Koziorożec.

Królowa uradowała się bardzo, a nie-  
długo potem przyszedł człowieczek.

— No, jakże mi na imię, królowo? —  
spytał. — Dziś dzień ostatni!

— Może ci na imię Siekierka? — rzek-  
ła.

— Nie, nie, nie!

— Może Rogacz?

— Nie, nie, nie!

— A więc pewnie Koziorożec!

— Diabeł ci powiedział imię moje! Dia-  
beł powiedział, niezawodnie! — wrzasnął  
człowieczek, tupnął w ziemię tak, że się  
zapadł do pasa, potem zaś, z wielkiego  
gniewu porwał drugą nogę w obie ręce i  
rozdarł się sam na dwie części.

## JORINDA I JORINGIEL.

W gęstym lesie mieszkała straszna baba, która była czarownicą. Przez cały dzień miała postać kota, lub sowy, a wieczór wyglądała znowu porządnie, jak człowiek. Do zamku swego zwabiała zwierzyne i ptactwo, potem zaś zarzynała, piekła i jadła. Kto tylko zbliżył się o sto kroków do zamku jej, musiał stawać i iść dalej nie mógł, aż go uwolniła, a jeśli to była nabożna dziewczyna, przemieniała ją w ptaka i zamykała do klatki. Miała w zamku swym już siedem tysięcy takich klatek, z najrzadszemi ptakami.

Pewna piękna dziewczyna, imieniem Jorinda, miała narzeczonego, imieniem Joringiel i kochali się bardzo oboje.

Chcąc pomówić ze sobą poufnie, poszli raz do lasu.

— Baczmyż pilnie, — rzekł Joringiel — by nie podejść zbyt blisko zamku czarownicy.

Był dzień piękny, słoneczny, ciepły, a na buku siedziała turkawka, gruchając żałośnie.

Spiew ten rozczulił Jorindę aż do płaczu, Joringiel pocieszał ją i szli tak, aż nagle spostrzegli z przerażeniem, że zabłądzili. Nie wiedząc, którądy wracać, chodzili po lesie, aż do zachodu, a gdy słońce zaczęło kryć się za góry, zobaczył Joringiel poprzez gałęzie drzew stare mury zamku czarownicy.

Zdjęty przerażeniem stanął i nie mógł się ruszyć. Tymczasem Jorinda zaczęła śpiewać:

— Turkaweczko, śliczne ptaszę,  
Kiedy będą gody nasze?  
Cwir! Cwir! Cwir!

Joringiel spojrział zdziwiony tym zakończeniem śpiewu i zobaczył, że Jorinda przemienioną została w słowika, a woko-

ło niej lata szkaradna sowa o płonących oczach, hukając złowrogo.

Nie mógł się ruszyć, płakać, ni mówić, a tymczasem zaszło słońce i sowa odleciała. Za chwilę wyszła z gęstwiny stara baba z nosem do brody zwieszonym, z kijem w jednej ręce, a klatką w drugiej. Mrużąc coś, schwytała słowika, wsadziła do klatki i odeszła. Joringiel nie mógł ruszyć ręką, ni przemówić i stał tak, aż ujrzał czarownicę raz jeszcze.

— Ave have, harave hahuave! — powiedziała mu, skinęła ręką, on zaś uczuł się wolnym.

Padł zaraz na kolana i jął błagać czarownicę, by mu oddała ukochaną Jorindę, ale nie chciała słuchać i wróciła do zamku.

Zrozpaczony Joringel poszedł, dotarł wkrótce do jakiejś nieznaney wsi i przystał tam za pasterza. Często krążył koło zamku, nie mógł jednak wyswobodzić narzeczonej. Pewnej nocy



przyśniło mu się, że znalazł prześliczny, purpurowy kwiat, z perłą wśród płatków. Zerwał go, poszedł do zamku czarownicy i dotknięciem pouwalniał od czarów wszystkie pochwyte ptaki i swoją Jorindę także. Zbudziwszy się równo ze świtem, zaczął zaraz szukać owego kwiatu, aż wreszcie znalazł dziewiątego dnia purpurowy kwiat z kroplą rosy, jak perłą, pośród płatków. Uradowany wielce ruszył bez wahania w drogę, a gdy się zbliżył na sto kroków do zamku, nie uległ czarom, ale doszedł do samej bramy. Za dotknięciem kwiatu rozwarła się brama, tak że wszedł w podwórze. Zaczął nadśluchiwać świergotu ptaków i po chwili stanął w sali, gdzie czarownica karmiła jeńców swoich, w siedmiu tysiącach klatek.

Na jego widok wpadła w gniew straszny, ale ponieważ trzymał w ręku kwiat, nie mogła do niego przystąpić.

Nie zważając na nią, chodził od klatki do klatki, szukając swojej Jorindy, nie

mógł jej jednak znaleźć pośród siedmiu tysięcy słowików i innych ptaków.

Nagle spostrzegł, że czarownica wzięła jedną z klatek i zmierza ku drzwiom. Przyskoczył prędko, dotknął klatki kwiatem, potem zaś czarownicy, tak że się stała bezbronną.

Zaraz stanęła przed nim odczarowana Jorinda, piękna jak dawniej i zarzuciła mu radośnie ramiona na szyję.

Uwolnili potem wszystkie dziewczęta i poszli do domu, wzięli ślub i żyli szczęśliwie.

## BRZYDKIE KACZĘ.

Było na wsi przecudnie tego lata. Zboże złociło się, na ciemnozielonych łąkach woniały wysokie kopy siana, w powietrzu przelatywały bociany o długich, czerwonych nogach, rozmawiając ze sobą w starym języku egipskich faraonów, którym podobno władają biegle. Pola i łąki otaczały wielkie bory, a gdzieniegdzie błyszczały stawy i jeziora.

Pośrodku tego wszystkiego stał zamek starożytny, otoczony rowami z wodą, a mury jego okrywał bluszcz gęstą oponą. Po wodzie pływały białe i żółte lilie.

W rozpadlinie starego muru zrobiła sobie gniazdo kaczka, chcąc mieć spokój dla wysiadywania jaj. Niedługo jednak sprzykrzyła jej się samotność i patrzyła

z zazdrością, jak inne kaczki pływają lub brodzą po błocie.

Na koniec, po długim czasie, pękła skorupa jednego jajka, wyjrzała główka i pisklę powiedziało:

— Pip! Pip! Jakiż ten świat ogromny!

Dni następnych popękały inne skorupki, a wszystkie pisklęta wystawiały głowy, dziwiąc się, że świat taki wielki.

Niedługo zaczęły nawet same z siebie, bez nauki, po trosze gęgać, a matka poprawiała tylko ich wymowę i uczyła.

— Sądycie, że to, co jest przed wami, to cały świat? O nie! Sięga on aż do wieży kościelnej, tam, pod lasem, a może i dalej, ale tyle tylko widziałam na własne oczy. Dobrze, żeście się wkońcu wyłęgły, gdyż mam dość siedzenia! — dodała wstając. — Ach, nie! Największe jaje całe jeszcze! — zakończyła z westchnieniem, siadając ponownie na gnieździe.

— Jak się masz kuzynko? — spytała inna kaczka, podpływając.

— Mam kłopot z ostatnim jajem! — odparła. — Ale popatrz zato na resztę piskląt. Całkiem podobne do ojca. Szkaradnik, nie zjawi się nawet powiedzieć: Dzień dobry.

— Pokażno mi to ostatnie jaje! — rzekła kuzyka. — A, to pewnie jaje indycze. Dałam się i ja raz złapać w ten sposób i przeszłam dużo kłopotu. Wyobraź sobie, to przemierzył indycze pisklę nie chciało za nic pływać po wodzie. Nie ma wątpliwości, podłożono ci na złość indycze jaje, opuść je tedy i zajmij się edukacją piskląt własnych.

— Wysiadywałam je już tak długo, więc wytrzymam jeszcze dni parę! — powiedziała dobrotliwa kaczka.

— Miłej zabawy, — odparła kumoszka i odpłynęła.

Pękła wkońcu skorupa wielkiego jaja i wyszło pisklę ogromne, szkaradne i koślawe.

— Co za poczwara! — zawołała kacz-

ka. — Wcale niepodobne do reszty. Musiałam pewnie wysiedzieć indyka. Zresztą zobaczę, czy pójdzie na wodę. Jeśli nie zechce, wrzucę je przemocą.

Nazajutrz była przepiękna pogoda, kaczka poszła nad wodę z całą czeredą swoją i rozkazała dzieciom pływać. Wszystkie maleństwa wskoczyły bez wahania, dały z początku nurka, ale zaraz wydo stały się na powierzchnię, ruszając łapkami jak należy. Pływało także i wielkie piskłę, szare i szkaradne.

— To nie jest indyk! — powiedziała sobie kaczka. — Doskonale przebiera nogami, trzyma się prosto. Moim jest przede dzieckiem, a jeśli mam wyznać prawdę, nie jest wcale szkaradne... przeciwnie, posiada dużo uroku.

Potem rozkazała całej swej dzieciarni popłynąć na staw, celem zaznajomienia się z wielkimi kaczkami, przyczym miały się trzymać matki i unikać kota.

Na stawie panował ruch wielki, a na-

wet dwa stadka kaczek walczyły o głowę węgorza, wymierzając sobie ciosy dziobami. Kot spał niby to na brzegu, w pewnej jednak chwili skoczył i porwał zdobycz.

— Widzicie, dzieci moje, jaki świat jest podstępny! — powiedziała kaczka. — Pamiętajcież, że tylko rozwaga i mądrość może was uchronić od złego. Trzeba też oddawać cześć dostojności. Pochylcie grzecznie szyje. Oto tam płynie kaczka hiszpańska z pierścieniem na nodze, jest to znak, dla kucharki, by jej nie brała na rożen.

Uczcie się przy tym kwakać w takt, gdyż tak czynią wykwintne kaczki i wiośłujcie nogami, na bok, nie pod siebie, po prostaku.

Pisklęta wykonywały wszystko, co kaczka-matka, nie pozyskały jednak przez to życzliwości ogółu:

— Jakto? Jeszcze jedno stado! — wołano tu i owdzie. — Jakże się zdołamy

wyżywić wszystkie? — To wstyd istny! — zawołał młody kaczonek. — Patrzcie na to szare, szkaradne kaczę. Nie możemy go ścierpieć w swoim gronie.

Rzekłszy to, przyskoczył do niebożątka i zaczął skubać bezbronne piskłę.

— Idź precz! — zawołała matka. — Zostaw w spokoju dziecko moje, które nikomu nic złego nie czyni.

— To prawda! — przyznał kaczonek. — Ale jest za wielkie na swój wiek, a na to pozwolić nie sposób. Zresztą nie bije się, jak należy i hańbi cały ród.

Tymczasem przyplęnęła kaczką hiszpańska i pochwaliła zachowanie piskląt i ich ruchy grzeczne.

— Szkoda tylko — dodała — że jest pośród nich ten potworek, brzydko upierzony.

— To prawda, że nie ładne moje piskłę, — odparła matka — ale dobre jest, łagodne i pływa lepiej od wszystkich. Pewnie siedziało zbyt długo w jajku i to



mu zaszkodziło. Przy tym jest kaczor-kiem, a więc nie szkodzi mu tyle brak urody! — dodała matka gładząc pierze, rozczochrane podczas napaści.

— Tym lepiej, że się pani pociesza sama! — powiedziała hiszpanka. — Za to inne są śliczne. Witam je uprzejmie na stawie, ale kładę za warunek, by w razie znalezienia jakiegoś przysmaku n. p. głowy węgorza, przyniosły mi to, bowiem jestem tu królową i wymagam, by mnie szanowano.

Oswojono się w końcu z nową czeredą, a tylko brzydkie kaczę prześladowali, szturchali i skubali wszyscy, ba, nawet kury wyśmiewały się zeń. Po podwórzu chodził indor dumny i pyszny, jakby był panem świata. Na widok brzydkiego kaczęcia nadał się, syknął, szurgnął po ziemi skrzydłami i rzucił się na nie, gdy zaś uciekło do wody, zagulgotał ze złości i stał się czerwony, jak ćwik. Biedne kaczę nie miało chwili spokoju, tak że

nawet we śnie zrywało się ze strachu i piszczało.

Nawet rodzeństwo nie miało dlań życzliwości i mówiło:

— Trzebaby namówić kota, by sobie zabrał tę pokrakę.

Matka-kaczę broniła je zrazu, potem jednak i ona straciła cierpliwość.

— Niechże cię raz лихо porwie, ty moje utrapienie! — mawiała teraz.

Służąca, która przychodziła karmić drób, odsuwała także stopą biedne szkaradztwo, wyciągające szyję po okruchy.

W końcu, nie mogąc wytrzymać, małe kaczę uniosło się w powietrzu i poleciało ponad krzaki, ogrody i pola. Ptaki uciekały, przerażone biciem niewprawnych skrzydeł, a biedne kaczę zamykało oczy, nie chcąc patrzeć na tych ślicznych pobratymców swoich, których razila brzydota jego.

Leciało i leciało, byle dalej, aż wreszcie

usiadło, znużone na wielkim moczarze, gdzie żerowały dzikie kaczki.

Zbliżyły się doń zaraz, pytając:

— Skądżeś ty? Jakaż jest twoja rasa?

Kaczę kłaniało się zawstydzone wszystkim, nie wiedząc co mówić, a kaczki powiedziały:

— Jesteś szkaradnym stworzeniem! Ale nie nasza to sprawa, więc żyj sobie tu, byleś nie chciał, potworku, zaślubić którejś z naszych córek!

Ani mu się śniło o zaślubinach i rade było, że może żerować, oraz spać w szuwarach.

Pewnego dnia nadleciało kilka dzikich gęsi. Przybywały z dość daleka, z północy, ale jako młode musiały spocząć w lesie.

— Hej, mały potworze! — powiedziały — śmiesznie wyglądasz. Chodź z nami, zostaniesz ptakiem przelotnym. Niedaleko stąd żyje stadko dzikich gęsi, a przyjmą cię za naszą protekcją życzliwie.

— Piff! Piff! — padły w tej chwili strzały, a dwie gąski zginęły. Po nowych strzałach wleciały zewsząd z moczarów gęsi i kaczki, uciekając na wszystkie strony.

Strzały huczały, na brzegach stali ludzie, siedzieli w gałęziach wierzb, siwy dym pokrył szuwary, a psy naszczekiwały straszliwie.

Biedne kaczę drżało wtulone w kępę trawy. Nagle ujrzało przed sobą psa ogromnego, o rozbłysłych oczach, rozwartej paszczy i białych zębiskach. Spojrzał na biedactwo, machnął wzgardliwie ogonem i pobiegł dalej szukać godniejszego siebie łupu.

— Brzydota moja ocaliła mnie! — powiedziało sobie biedne kaczę i siedziało długo, wtulone w sitowie, aż polowanie ustało.

Potem zaczęło co sił umykać ze straszego moczaru i zdążyło nad wieczorem do ubogiej chatki.

Znużone, chłostane wichrem, przycupnęło pod ścianą i dopiero odzyskawszy zmysły spostrzegło, że drzwi nie są domknięte. Weszło i znalazło się w domku, gdzie żyła zacna kobieta, z kotem i kurą. Kot umiał prężyć grzbiet i mrużyć, sypał także iskry, ale tylko wówczas, gdy go się głaskało pod włos. Kura miała krótkie nogi, chodziła śmiesznie, ale zносиła dobre jajka, a kobiecina kochała ją, jak własne dziecko.

Kot i kura spostrzegły rano przybysza, kot zaczął mrużyć, a kura gdakać.

— Cóż to się dzieje? — spytała kobieta, potem zaś wzięła w ręce kaczę i zawołała: — Doskonale! Będę miała kacze jajka.

Odtąd dobrze się działo kaczęciu, miało co jeść i ciepły ką, gdy jednak wyszło na jaw, że jaj zności nie może, zaczęła się na nowo niedola.

Kura była istotną panią domu. Mówiła zawsze — „My“ to znaczyło ona i reszta

mieszkańców, gdy zaś biedne kaczę wtrącało czasem słówko, kura łajiała ją, krzyząc:

— Czy umiesz znosić jaja? Nie! A więc milcz z łaski swojej, bo jesteś niczym w świecie.

— Czy umiesz garbić grzbiet, mrużyć, a nawet rzucać iskry? — pytał kot. — Nie umiesz! A więc milcz z łaski swojej, bo jesteś niczym w świecie.

Kaczę siedziało w kącie, a gdy w chałupinie było coraz to goręcej, wraz z powrotem lata, mówiło czasem:

— Ach, jakżeby to miło było popływać sobie, nurkować i zatapiać głowę aż do samego dna.

— Co gadasz! — krzyknęła kura. — Brednie i basta! Spytaj kota, istoty najmądrzej w świecie, czy przyjemnie jest pływać i sięgać głową dna. Spytaj wreszcie gospodyni samej, czy lubi chlapać się we wodzie.

— Nie rozumiecie mnie! — powiedziało biedactwo.

— Nie rozumiemy? Ach, sądzisz więc, że posiadasz więcej rozumu ode mnie, kota i gospodyni. Radzę ci, zrezygnuj z tych głupstw i ucz się znosić jaja, oraz mruzcęć. Chętnie weźmiemy się z kotem do twej edukacji.

— Może skorzystam coś w podróży? — powiedziało kaczę.

— O, z pewnością zrobi ci się dobrze!  
— odparła kura, chcąc się go wyzbyć czym prędzej.

Biedne kaczę poleciało na samotny staw i zaczęło pływać, nurkować, oraz sięgać głową do samego dna. Była to rozkosz prawdziwa, a trwała przez całe lato.

Nadeszła jednak jesień, z deszczami i chłodem, a biedny ptak przeszedł dużo utrapień.

Brzydkie kaczę zaznało jednak i miłej rzeczy, jednego, ciepłego wieczoru, o zachodzie słońca. Właśnie pływało spo-

kojnie, gdy nadleciało stado przepięknych ptaków. Skrzydła ich i pierze były olśniewająco białe, długie szyje gięły się ruchem pełnym wdzięku. Wydawały okrzyki dziwne, gardłowe i na ogromnych skrzydłach leciały w stronę południową, szukając ciepła. Były to łabędzie. Brzydkie kaczę nie widziało nigdy takich ptaków, ale uczuło do nich pociąg dziwny, miłość nawet, jakby je coś z nimi wiązało.

Uleciały w dal, a biedne kaczę ogarnęła taka tęsknota, że rzucało się po wodzie, jakby oszalała.

Zima była bardzo ostra, stawy zamarły i kaczę musiało się ciągle ruszać, by nie zginąć. Głód je także nękał srogi, tak że pewnego wieczora padło na lód zeszczywniałe i jakby martwe.

Znalazł je chłop wracając z targu, zabrał do chaty, przywrócił do życia i dał dzieciom do zabawy.

Ale biedne, nauczone doświadczeniem



kaczę trzepotało skrzydłami, uciekało, przewróciło garnek z mlekiem, wpadło do skrzyni z mąką i wreszcie uciekło nie-domkniętymi drzwiami.

Ile przecierpiało tej zimy biedne kaczę opowiedzieć byłoby, naprawdę, trudne, ale w końcu wróciła wiosna i nastaly lepsze czasy.

Skrzydła kaczęcia wyrosły, wzmocniły się znacznie i mogło ono teraz fruwać wysoko, wyżej, niż inne kaczki. Pewnego dnia latało tak w promieniach słońca. Nagle spostrzegło wielki park z lustrzanym stawem, na nim zaś trzy wspaniałe, śnieżnej białości łabędzie.

Wzruszone wielce, powiedziało sobie:

— Poznaje dobrze te królewskie ptaki. Z jakąż lekkością suną po wodzie. Zefir wzdyma ich skrzydła, jak żagle łodzi. Pragnę przyjrzeć im się z bliska, choćby przyszło po tym umrzeć. Jestem brzydkim, nie mam prawa pływać wraz z nimi,

przeto mnie zabiją. Ale niechże i tak będzie. Mam dość prześladowań i cierpień.

Szumiąc skrzydłami zleciało brzydkie kaczę na wodę i przyjrzało się sobie mimo woli.

O, jakaż je ogarnęła radość i jakie zdumienie.

Wysiedziane przez kaczkę, było mimo to łabędziem, gdyż się wylęgło z łabędziego jaja i rasa jego wyszła w końcu na jaw.

Młody łabędź zapomniał od razu wszystkich utrapień życia swego, a towarzysze otoczyli go, witając życzliwie.

Na brzegu ujrzał niebawem kilkoro dzieci, a jedno z nich zawołało:

— Jest jeszcze jeden! Przybył nowy łabędź.

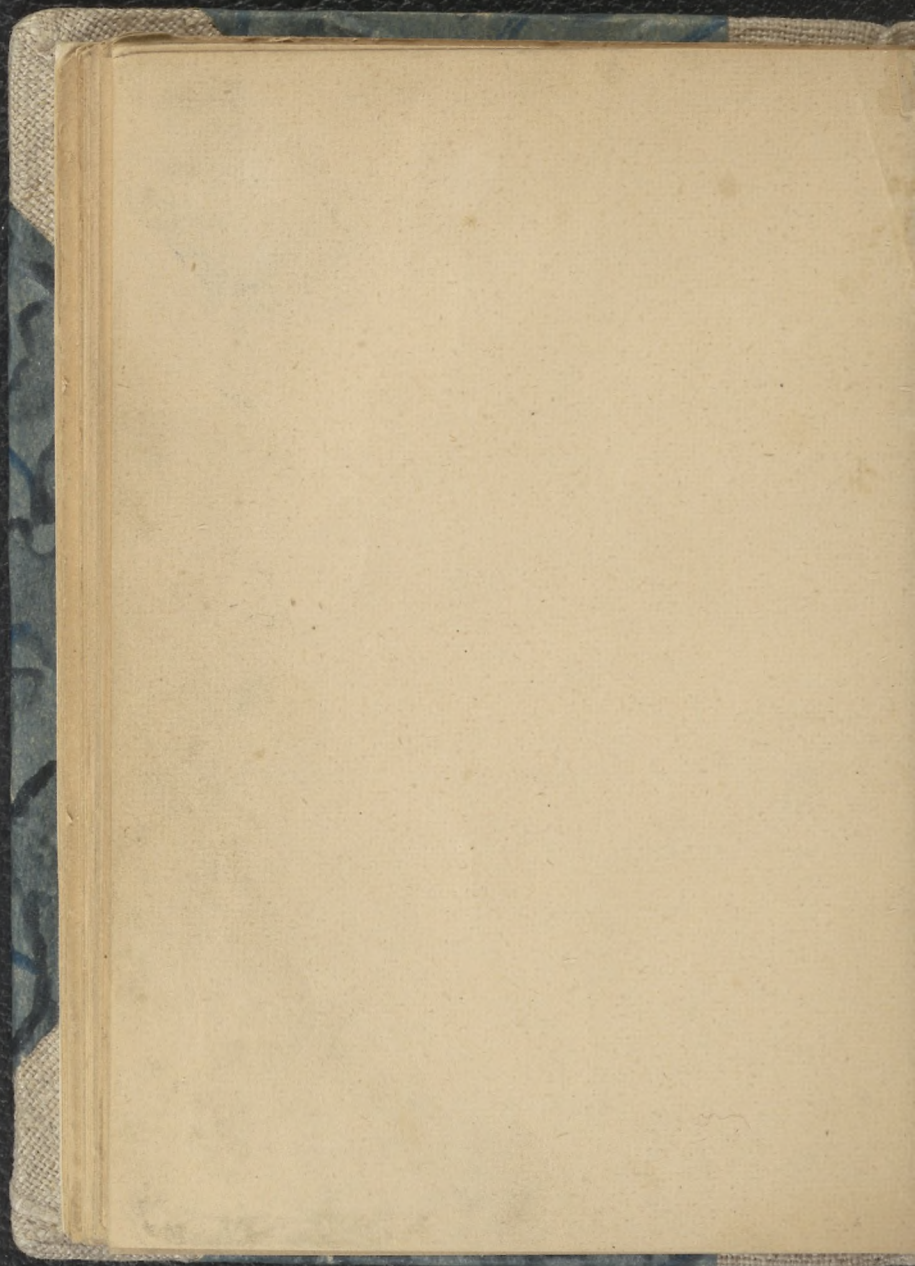
— Przybył nowy! Przybył nowy! — zaczęły wołać. — I to najpiękniejszy z wszystkich.

Pobiegły po ciastka i przysmaczki, rzucały je hojnie w wodę, a młody ła-

będź, zawstydzony tym, że go zwano najpiękniejszym, schował głowę pod skrzydła, rozpamiętywując smutne losy swoje.

Ale inne łabędzie dodały mu zaraz otuchy i po chwili pływał wspaniale po lustrzanej wodzie, tak szczęśliwy jak nigdy we śnie nawet dotąd.

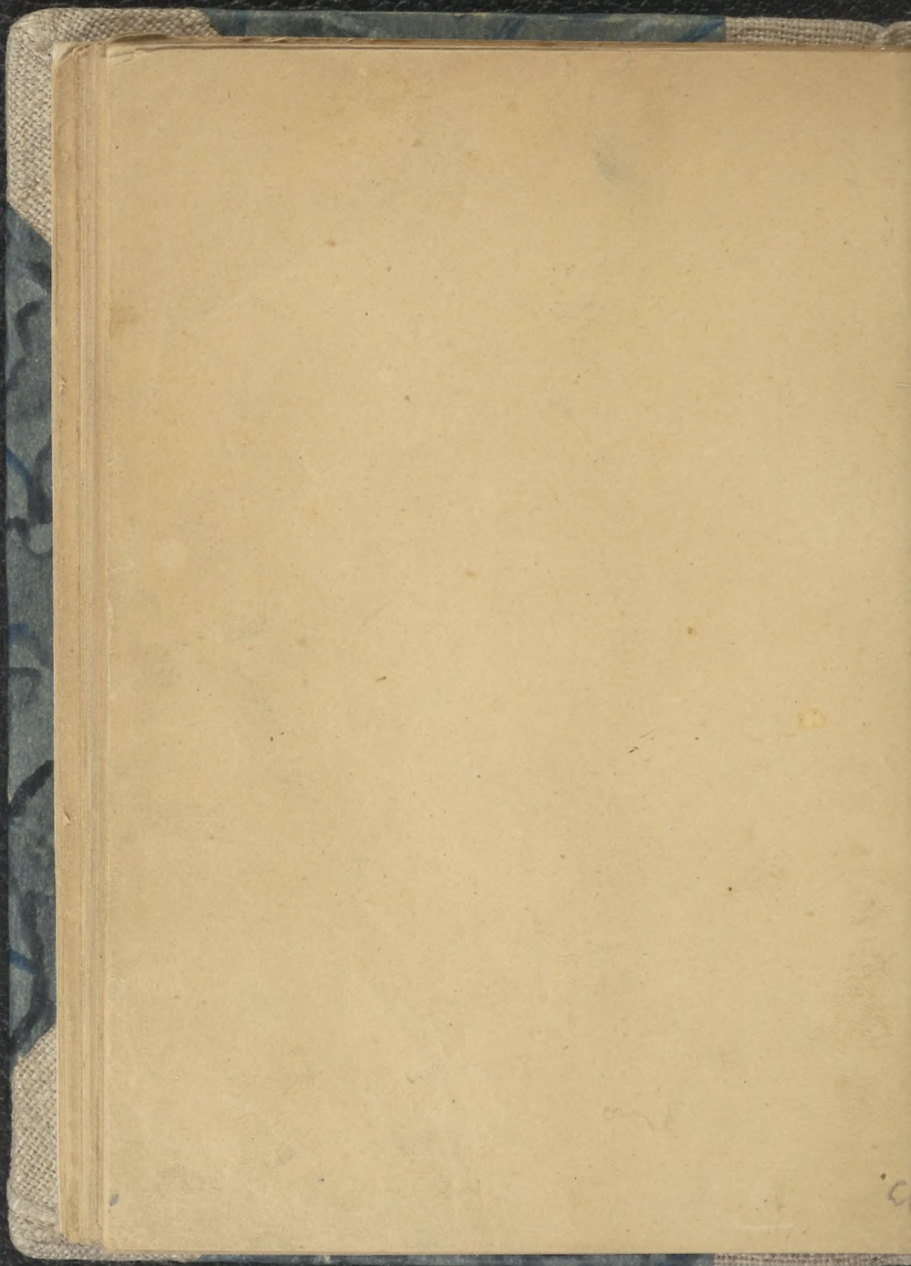


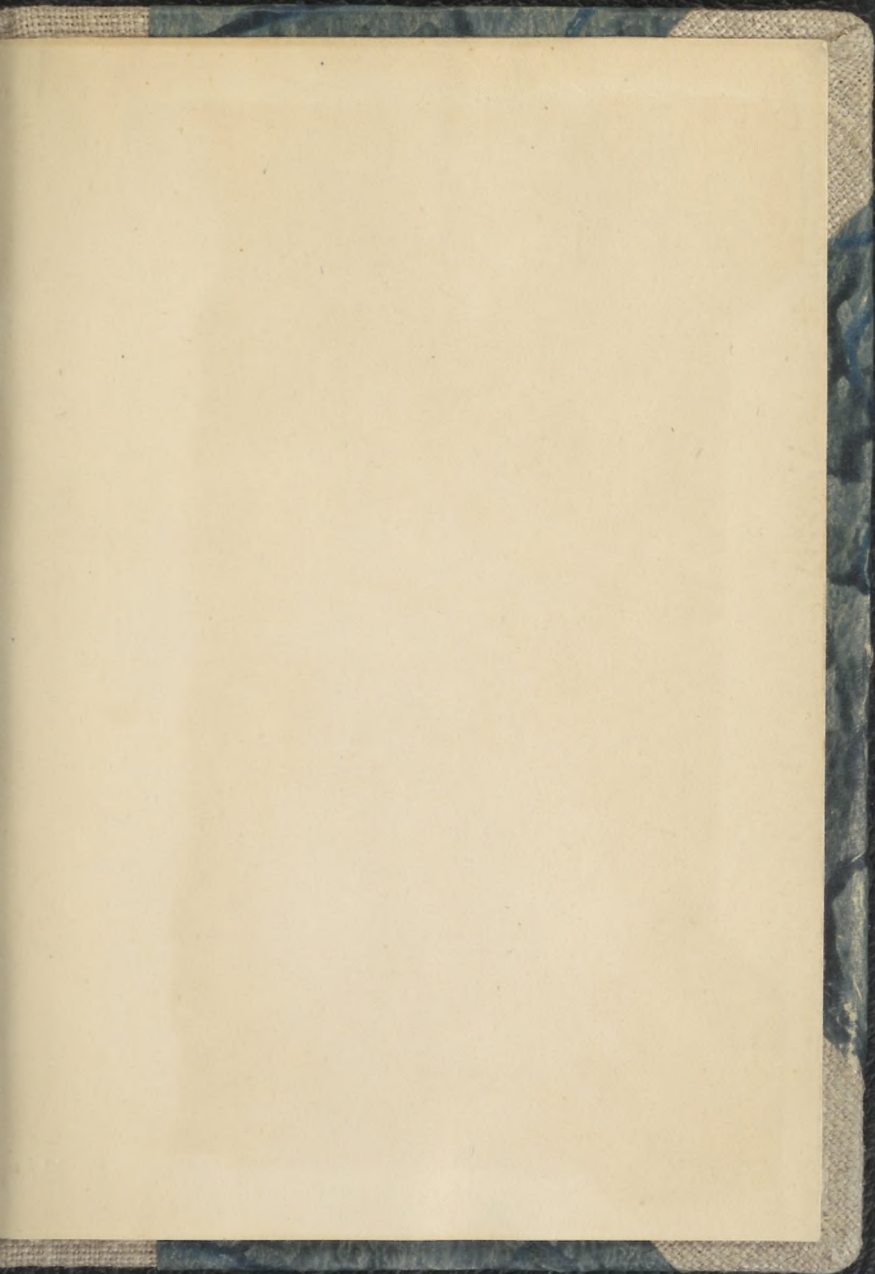


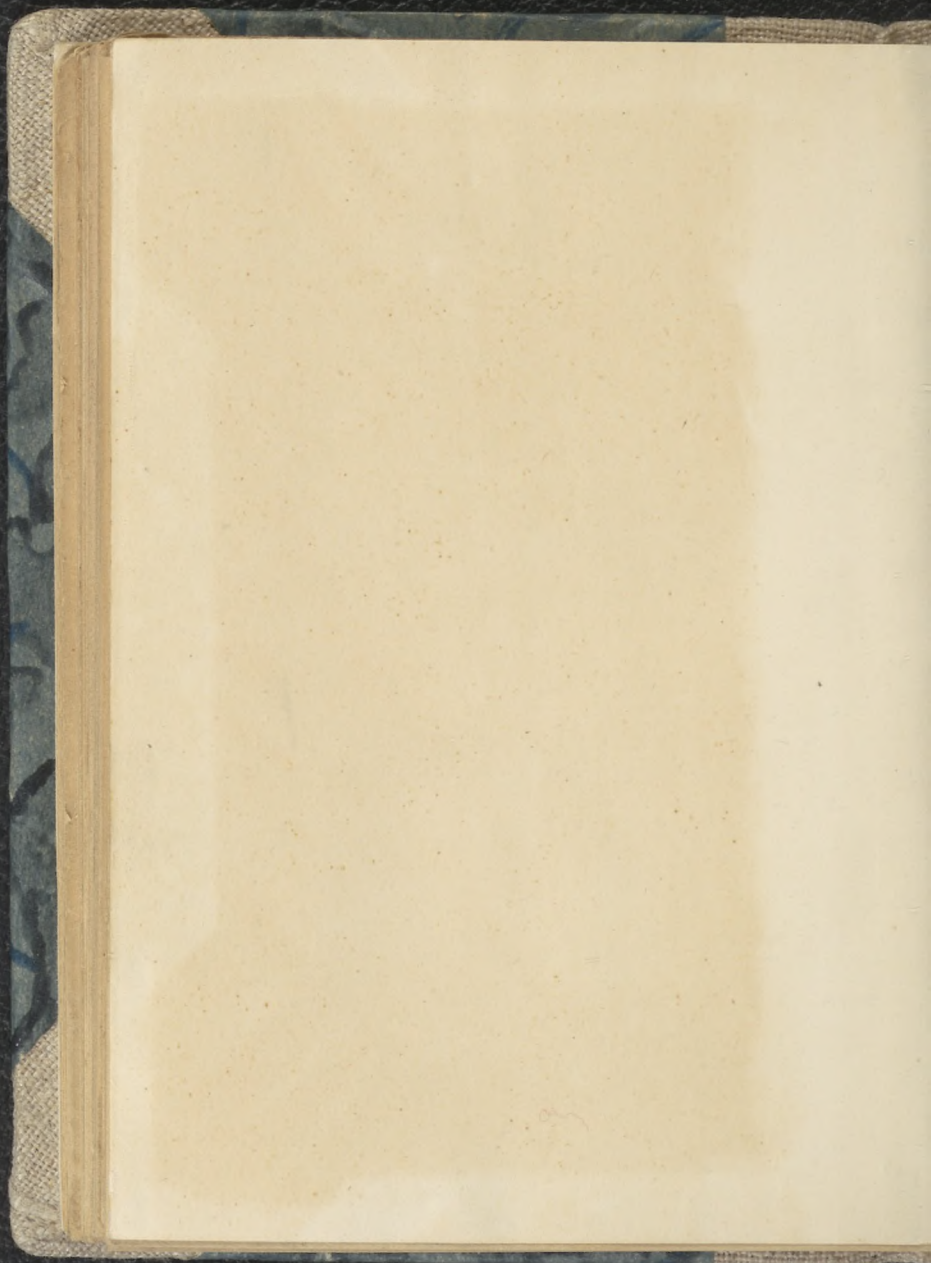
## S P I S R Z E C Z Y

	str.
Baba Jaga . . . . .	9
Król Kosonos . . . . .	16
Ukochany Roland . . . . .	25
Żeby mnie to ciarki przeszły . . . . .	33
Koziorożec . . . . .	52
Jorinda i Joringel . . . . .	58
Brzydkie kaczę . . . . .	63

Zb. Pow.  
21. XII. 53













BIBLIOTEKA  
NARODOWA

141156

---

---

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001003638295